I ROK — ZESZYT VI

MŁODOŚĆ

Czasopismo akademickie
Założone w setną rocznicę urodzin
Adama Mickiewicza

MAJ 1899

KRAKÓW — LWÓW

TREŚĆ:

STRON 32.

MŁODOŚĆ

REDAKCYA, KRAKÓW ul. Retoryka 1, drugie piętro. Otwarta codziennie oprócz niedzieli i świąt od 3—4 1/2 pop.

PRENUMERATA kwartalnie: w Krakowie i na prowincyi 85 ct., za granicą 1 mk. 50 pf., 2 fr., 80 kop. - - - - -



Tamtych dwóch uczono mnie już w szkołach podziwiać, wielbić, czcić... Mówiono mi o nich wiele, bardzo wiele pięknych rzeczy. Dowiedziałem się, że byli wielcy, że kochali swój naród; że byli szlachetni, patrzyli w przyszłość i myśli mieli głębokie i serce duże... Nazywano ich wieszczami narodu. — — Ale i o Nim mówiono mi czasem. Słyszałem, że miał »piękny język«, ale był złośliwy, samolubny, kapryśny i zarozumiały... Nieco później dopiero przekonałem się, że do tej litanii zapominano w pośpiechu dodać zazwyczaj jednego, a mianowicie: że był poetą. Nie mniej i nie więcej, tylko poetą. — I nawet zdaje mi się dziś, żebym popełnił świętokradztwo, gdybym do tego miana dodawał jakie określenia i mówił: wielki poeta, genialny poeta lub coś podobnego. On był poetą. —

W tem mieści się wszystko. W tem mieści się i to, że mu się należą całe, niepodzielne serca wszystkich, co wielbią Piękno, myśl i duszę, — i to także, że się zwłokom jego zapomnianym grób na ziemi ojczystej należy. Ale czasem myślę, że mu krzywdę wyrządzają ci, co chcą go pochować na splugawionym żołdactwem i już nie naszym zamku królów naszych, — obok trupów w koronach i trupa w siermiędze i tego trupa, co był wielki. On był

tylko poetą i dlatego wiatry powinny chodzić po falujących kłosach dookoła jego mogiły i między brzozy na grób wyniosły, samotny, widny zdaleka i Tatrom i Wiśle, mgły tęczowe, powiewne, lekkie, stukształtne napędzać, mgły co umieją tańczyć po kwiatach, pyłku z nich nie strząsając i liche domki na pałace napowietrzne przeczarowywać, a potem wznieść się w górę i słońce zakrwawić, a potem zczernieć i gromami przez zatęchłe powietrze śmignąć — i naraz w ogromny deszcz łez się roztopić... A gdyby pieśniarz który z ziemi krwi i mogił przyszedł na ten grób w księżyc świetny, — wołałby: Ojcze! — choć On był bezdzietny...

Jerzy Żuławski.

FILIP EISENBERG

CO CZEKAJĄ CUDU.

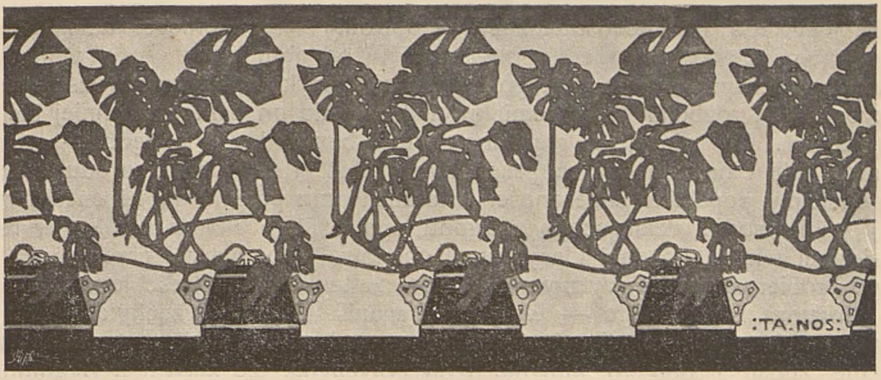
Czekają cudu...
O zmroku z wieczora
U okien siedzą pośród lilii bladych —
Tęsknotom zmierzchu otwierają dusze,
Czekają cudu, jak czekały wczora...

Czekają cudu — po błękitnej dali
Spojrzenia wodzą, a w ich dusz kielichy
Pomroki fale napływają zwolna
I zmierzch się siny gdzieś zaświatom żali..

Cisza po świecie... tylko z serc swych słyszą
Nieśmiałe głosy, co swe dłonie wznoszą
Ku cudom życia... Drżą liliowe kwiaty,
Smutkiem się pojąc i bezmierną ciszą...

Siedzą jak zmarłe, czekając bez końca —
Noc już dokoła... tylko lilie jeszcze
Bieleją ciągle po przez nocy cienie
I tęskne twarze, co od lilii bledsze

A cud nie przyjdzie. —



CEZARY JELLENTA

FIZYOGNOMIA POLITYCZNA SŁOWACKIEGO.

»Najmłodsza Polska« woła, że staje pod jego znakiem. Ale „Najmłodszej Polski« niepodobna wyobrazić sobie bez pewnych ideałów politycznych. Inaczej musiałaby skwitować z drugiej połowy szczytnego swego miana. A zatem i w Słowackim musi się ona dopatrywać, a przynajmniej doczuwać pewnych zasad i godeł życia narodowego na przyszłość. Powinna o tem pamiętać w oszołomieniu czarodziejskimi blaskami tej dziwnej poezyi. Nie samo mistrzostwo formy u twórcy »Króla-Ducha«, nie samo jasnowidztwo jego wyobraźni, nie sam łabędzi romantyzm umysłu jego — są ową gwiazdą betleemską, która prowadzi nowe pokolenie, ale jest nią i pewien podkład narodowo-etyczny, pewien przenikający wszystko żar uczuć i sympatyj politycznych.

Rzecz prosta, iż nie chodzi tu o gorącość i skrajność patryotyzmu. W tej dobie tragicznej naszych dziejów, w której urósł Słowacki — był to naturalny posag każdego wielkiego pisarza. Każdy z nich kochał swą ojczyznę, cierpiał za miliony, upajał się wizyami jej wyswobodzenia, odurzał szalonymi obrazami zemsty, rozdzierał serce bluźnierczą rozpaczą, napełniał świat klątwą i gotów był przelać własną krew. Pod tym względem Słowacki nie mógł się tak bardzo różnić od innych, zwłaszcza od Mickiewicza i cała ta sfera jego namiętności w duszy, a motywów w poezyi — daje się zawczasu przewidzieć i określić i przeto osobnej charakterystyki prawie nie wymaga. Ale mimo to odrębnym jest i niezawisłym, a odrębność polega na tem, że jawnie, wybitnie i jaskrawo ciążył ku demokracyi.

Czy nie zawiele tu powiedziano? Jeśli zawiele, to chyba w oczach prze-

sądu, opartego na niedostatecznej — o ironio — znajomości dzieł Słowackiego. Świat przywykł niejako zwalniać go od obowiązku wyznawania wyraźnych godeł społecznych dla tego, że taki nieziemski, druidyczny, rozśpiewany, wizyonerski i rozbolały własnemi krzywdami. Ale on sam bynajmniej się nie rozgrzeszał. Co więcej, z głębi instynktu i bezwiednego popędu — wierzył w moc ludu i na nim oprzeć pragnął przyszłość i zbawienie narodu. Tylko nie chciejmy popełniać śmieszności i narzucać mu pojęć i subtelności dzisiejszej publicystyki, dzisiejszego żargonu społecznego i wtłaczać go w ramy dzisiejszej wielce złożonej klasyfikacyi obozów, stronnictw i przekonań. Takiego probierca on nie wytrzyma. Ale po za tem ogólna treść jego sympatyi — i rozumu społecznego — wyraźnie i manifastacyjnie przechyla się ku ludowi. Powiem jeszcze więcej: wiarą tę uważał za tak świętą, że uchybienia jej nie znosił i ono to głównie było przyczyną, że zerwał z Zygmuntem Krasińskim. Gdy mówi w listach tajemniczo o jego upadku, to, zdaje się, nie co innego ma na myśli, jak właśnie przeciwludowe stanowisko autora »Nieboskiej«. Różnica poglądów jeszcze dosadniejszy i nawet namiętny i obraźliwy wyraz znalazła w słynnym poemacie: »Do autora trzech psalmów«, „jednej z przedziwności języka polskiego, brzmiącej cudownemi dźwięki — jak go nazwał sam Krasiński (w przedmowie do »Psalmu żalu«). Tu przecież Słowacki jest przejrzystym i jasnym, jak nigdzie indziej. Snać uczucia jego społeczne były wyjątkowo boleśnie zadraśnięte, skoro nie waha się pomawiać swego przeciwnika, a do niedawna serdecznego i drogiego druha — o tchórzostwo z powodu, że ten boi się rzezi: »A ty zląkł się syn szlachecki?« »Bądźże żywotniejszej cery!« Na samą zaś szlachetczyznę ma gorzką odpowiedź:

Bo to sen na końcu pieśni
Że magnaty — kiedyś — staną
Z wielką tęczą chorągwianą
Otrząśnięci z wieków pleśni
Z wielką myślą w sercu — głowie —
Chatom — niby Aniołowie,
I bunt niby rozpłomienią,
I świat cały od nich zgore...
— W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenią!...

Lecz ażeby się nie zdawało, że tu chodzi wyłącznie o »magnatów«, nie zaś o szlachtę w ogóle — należy przypomnieć sobie że jest to odpowiedź właśnie na dytyramb dla szlachty w »Psalmie miłości«, gdzie pod pozorem odwoływania się do Ducha Chrystusowego — rozbrzmiewają hymny na cześć, jako tej, która:

W poświęcenia świętej dumie
Poprowadzi Lud po bitwy

. . . .

Pierś że czyja kwitnie w blizny?
Kto się palił wciąż ofiarą
Na ołtarzach tej Ojczyzny?
Kto nad Ludu biedną marą
Nad przepaścią ciemną jeszcze
Skrył się cały w żary wieszcze?

Tylko »ród szlachty nieszczęśliwy« zdolny jest do ofiar i »z Polską w sercu, a mieczem w dłoni« szedł na Sybir, lecz ani lud, ani »mieszczan synowie«.

Słowacki dał tym chwalbom taką odprawę, jakgdyby był najtrzeźwiejszym, najbardziej ziemi się trzymającym autorem, a nie lunatykiem bujającym nad historyą swej ziemi na wysokości biegu księżycowego. Pojmuje on wyśmienicie intencye tych, co »chcą stać na głowach braci, tak jak szatan dotąd stoi, że to „forma, która kuta od tysięcy lat we świecie, choć spróchniała — duchy gniecie, wyrobiona i przeżuta, przeświecona piekłem mara, dla was święta tem, że stara...« Rozumie przedziwnie, że ten »wiatr z gwiazd i ognia«, o który szlachta opiera się plecami — »niesie lud a ją samą wali i grozi jej wybrańcowi:

To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskawiczne
Charonowej twojej łodzi
Pełnej trupów — w poprzek staniem.

Sentymentalna strona tego samego dla ludu usposobienia odzywa się w wierszu: »Narodzie mój«, gdzie lituje się nad błękitnymi chłopkami, co jęczą znędzniali, tysiąc lat idą a w miejscu stoją. Praktyczna w »Testamencie«, gdzie zaklina żywych, żeby nie tracili nadziei i przed narodem nieśli oświaty kaganiec i — w wielu, wielu innych akordach poematów i rymów ulotnych.

Ale gdy chodzi o organizacyę tak nawskróś poetycką, jak Słowackiego — czyż należy opierać się na wyznaniach i zasadach? Czyż on nie wypowiada tych samych uczuć każdym wierszem utworów, opartych na wątku legendowym, jak »Balladyna« lub na duszy plemienia, jak Lilla Weneda, Beniowski, Król-Duch? Przecież tam lud, jako główna istota narodu, jako plemienny rdzeń, jako to, co nadaje ziemi i krajowi barwę i kształt — jest głównym jeśli nie jedynym bohaterem. Beniowski z ruchów ludowych się składa; jego postacie jak Sawa, bandy Żeleźniaka, dzika mołodyca-Hudyna, to żywe wcielenie pierwotnego miąższu narodowego, jego postacie wesoło-baśniowe, jak Grabiec lub Skierka wzięte są żywcem z wyobraźni ludu, z widoczną miłością i doskonałą oceną tej skarbnicy natchnienia. A Król-Duch, choć na pozór stre-

szczony w mistyczno-ukoronowanej głowie, w gruncie rzeczy streszcza się w duszy i to duszy zbiorowej, polsko-słowiańskiej. Tam wszystkie poetyczniejsze marzenia odbrzmiewają duszą plemienia, charakterem ludu — tam każda jednostka Piast, Ziemowit, Pycha, Wodan, kapłanka pogańska rozpuszcza się, rozpromienia, rozpryskuje w duchowość gromadną nietylko przez blizkie swe z nią krewieństwo, lecz i z woli samego poety — który każdą osobę świadomie rozprowadza napowrót w tchnienie zbiorowe, gdy np. mówi, że z Wodana wziął się cały późniejszy smutek w słowiańszczyznie, lub gdy widzi świeżo przyjętą wiarę Chrystusową w obliczach chat i zmienionym obyczaju sielskim. Jak wszędzie indziej, tak w Królu-Duchu śpiewa do wielkiej widowni niby harfiarz, ale tu za słuchacza bierze całą sielską — prostaczą naturę i przeszłość Polski, za natchnienie — wypiastowaną w strzechach pieśń ideału zbiorowego, a słodycz czerpie z pól i łąk rodzinnych i ulów pasiecznych. Jest to Orfeusz słowiańsko-polski, najczystszy w świecie, bez najmniejszej bodaj domieszki obcej, dajmy na to nie aryjskiej.

Pod tym względem różni się wielce od Mickiewicza, którego geniusz najpełniej chwytał piękno szlacheckie — i wszelkim wytworom jego nadawał przedziwną wypukłość. I wypadło oto, że choć w ideale swym ogólnoludzkim stawał aż na granicach dzisiejszego socyalizmu — przybrał sobie za syna typowe dziecię szlacheckie — Pana Tadeusza, Słowacki zaś, choć tak purpurę królewską kochał — duchem swym rozpościerał się po chatach kmieci lechickich i bratał się z takiemi siostrami, jak Alina lub Balladyna.

Powie kto może, iż tego rodzaju sentyment estetyczny nie jest jeszcze społecznem umiłowaniem ludu, że czerpanie z jego duszy nie oznacza jeszcze, aby poeta wyróżniał go i do właściwej roli powoływał — ideowo?

Byłby to zarzut niesłuszny, bo najpierw temu cierpieniu z poetyckiej mocy ludu towarzyszy przecież wiara weń, jako w odrodziciela Polski, wyśpiewana w odpowiedzi Krasińskiemu, a nareszcie przybywają dwa wielkiej wagi względy:

Taką jest kwintesencya poglądów powszechnych Słowackiego.

Natura jego ustroju pośrednio parła go do zerwania z dawnemi potęgami dziejów. Pamiętajmy bowiem, że Słowacki był jakoby ewolucyonistą. W pieśniach prozaicznych (Genezis z ducha, List do Rembowskiego i Wykład nauki) wyprowadza świat bytów żyjących z ducha po przez różne szczeble drabiny zwierzęcej do człowieka — i wreszcie do ducha jako kresu ostatniego.

I to samo już musiało służyć za naukowe potwierdzenie przeczuciu, że historya się nie powtarza, że rola żywiołu, sławionego przez twórcę trzech Psalmów jest skończona raz na zawsze. Wszystkie jego teorye i poglądy były nawskróś czynnikiem rozwoju i odrodzania się przepojone. Wierzył święcie

Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp — że z kości rodzą się rycerze,

Że zjadaczów chleba można przerobić w aniołów. Pojmował, że choć ciało przebywa katusze, »pod męką leżący duch« jest »wiecznym rewolucyonistą, wszczynającym ruch«. Żżyma się na przeciwnika za wstecznictwo i pewnie za ową ironię, z którą Krasiński mówi o krwawej ostrodze, bodącej brzuchy wieków, ostrodze, bez której »postępu-by gwiazdy nie błysły nad światem« -- i urąga mu mężnie:

Kiedy gore świat cierpieniem
Kiedy wzbiera czynu fala
On się kładzie sam kamieniem
Na ruch ludzki nie pozwala,
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale rzeki boże

Ostrzega go piorunowemi słowy:

Ten, kto ojcu powie: raka!
Ten przeklęty: więc się bój!
Polski lud to ojciec twój;
Zeń jak z cierniowego krzaka
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru mając twarz i lice
I na ciebie, jak na świecę
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć!

Jest też — pomijając już wszelkie pierwiastki rozumowe — poetyckiem niejako upostaciowaniem »ruchu ognia i młodości«, co »orla i żywa, ogniem porywa i z ducha czerpie«. Jako jednostka psychiczna i jako organizacya twórcza — jest uosobieniem ruchu myślowego i niesłychanej, wyjątkowej intensywności pracy wewnętrznej — uczuciowo pragnieniowej, nie próżnującym nigdy tyglem duchowych przetworów, nie gasnącem nigdy wnętrzem wulkanu. Idealny czujduch — w słabem i męczącem się ciele. Dla tego to pędzi wciąż swą nieokiełznaną wyobraźnią, stąd nieocuglony galop jego strof, stąd deszcze gwiazd jego Króla-Ducha i stepowy tentent strof Beniowskiego.

A jak niema dlań okropniejszej rzeczy nad spokój, gnuśność, tak nic go większym nie przejmuje wstrętem, jak obojętność i brak cierpienia. Zdaje się, że widział w bólu potężną siłę, dźwignię ruchu i życia; czyn jest dlań zjawiskiem współrzędnem cierpieniu, a arystokracya gnijącą, bo »do zbolałych serc nie wnika«. Pragnąłby siedzieć na jakiejś globowej niebotycznej strażnicy i stamtąd przesyłać swoje parzące żagwie — palące pieśni, ażeby budziły sumienie i siłę: Na północ je posyłam — miejcie czucie!

Wypełnia tym bólem całą atmosferę i gra całemu światu surmową pobudkę. Swoją mocą i bólem sprawia, że z nad morza, dokąd uciekł pędzą jakieś tajemnicze szelesty, jakby kuto podziemne zbroje, lub rozpruwano sztan-

dary, a orzeł w pazury je chwytał i darł«. Jego siła taka, że drżą w jego ojczyźnie dachy i tak trzaskają jak kość, gdy się pali, dzieci wezmą nagle płakać i staną się białe, jak próchno i ockną się straszne niespodziane zjawiska.

Boleścią moją powietrze zatrute
Stało się mocą, bronią, pełne ducha
I czasem do was gra, jak harfy święte
A czasem waszej odpowiedzi słucha
Wtenczas — o straszne godziny przeklęte.
Siadam i strumień łez mi z oczu bucha
I przed Bogiem się nieśmiertelnym korzę —
Że duch mój cierpi tak — a nic nie może.

Tak więc sama duchowa organizacya Słowackiego, jego sposób czucia i myślenia czyniły go duchem i piewcą tej siły zdrojowej, w której spoczywa moc narodu i przyszłość jego ducha. Jeśli Mickiewicz — choć także kolos czucia i bezpośredniego porywu, ideały polityczne wypowiada jednak w pismach rozumowanych, pełen dowodów i — głębokiego doświadczenia i wskazówek etyki — Słowacki wygrywał je, jakby na licznych strunach swoich nerwów. Jeśli tamten jest sternikiem, mistrzem i posągiem, ten konturów dotykalnych nie ma: jest ogniem, ale jak ogień niespożytym.

Tamtego muza jest nauką, apostolstwem wzniosłej idei przyszłości — Słowacki zaś jest cały męką krzyżową postępu i ciągłych odrodzeń, samą substancyą, tworzywem procesu rewolucyjnego historyi. Uderza duszą o duszę, a nie rozumem o rozum. Wciska się w umysły wrażliwe i udziela im tajemnej wibracyi pragnień wyższego jutra. Jako sama dusza i istota siły odrodczej i pędu ku ideałowi, ruguje z nas flegmatyczną trzeźwość, poziomość. Jest dziś tak samo młodym i czarownym jak przed laty 50. Owszem powinniśmy nawet odczuwać lepiej żałość i smutek tych słów:

Teraz jesteśmy z ducha wytrzeźwieni,
Bracia rozumni — czciciele pisemni...
W głowach się nie ćmi, jak pierwej, słonecznie,
Fletnie nie grają, mogiły śpią wiecznie,
Czas nasz zgodzony z ziemi zegarami —
Stoim i śpimy... a świat śpi pod nami.

MŁODOŚĆ str. 152.

BOGUSŁAW ADAMOWICZ

NAGOŚĆ*

WSZYSTKO, CO KOCHA, OBSŁON PRAGNIE ZDZIERAĆ SZATY
I OBNAŻAĆ NAMIĘTNIE UKOCHANE ŁONA.
MĘDRCY Z OBSŁON NAJSKRYTSZYCH CHCĄ OBNAŻYĆ ŚWIATY...
I BEZPŁODNA JEST MIŁOŚĆ CNOTĄ UJARZMIONA.

O PIĘKNO! ZSTĄP ŻYJĄCE PRZED OBLICZE LUDU
I ROZSŁOŃ SIĘ, JAK FRYNE SZCZERZEJ, ŚMIELEJ, PROŚCIEJ;
BEZ TARGÓW NIERZĄDNICY, BEZ TAJNEGO BRUDU
ZEPSUCIA, CO W ZAMKNIĘTEJ GNIEŹDZI SIĘ ŚWIĘTOŚCI.

NIECH ZADRŻĄ NABOŻNISIE... ALE WZROK ARTYSTY,
ANI MYŚL PRZED NAGOŚCIĄ NIE COFNIE SIĘ WIESZCZA:
Z OGNIA KRWI ZDROWEJ BUCHA PŁOMIEŃ DUSZY CZYSTY —
I NIC, JAK ŻYWE CIAŁO, CUDU JEJ NIE STRESZCZA.

POEZYO! LEĆ NAD ŚNIEŻNE IDEAŁU GÓRY...
LECZ NIECH CI NIE PRZESZKADZA DUCHA MOC ŻELAZNA,
KOCHAĆ NAGOŚĆ KOBIETY, ŻYCIA I NATURY,
BEZ OBŁUDY ŚWIĘTOSZKA, BEZ CYNIZMU BŁAZNA!

MIEJ ODWAGĘ TO BRATAĆ, CZEGO NIKT NIE BRATA
I SŁUCHAJ, JAK GRZMI BÓLEM SZCZERE ŻYCIA TĘTNO
I RZUCAJ SIĘ NA ŁONA WIELKIEJ PRAWDY ŚWIATA —
MIŁOŚCIĄ JĄ POKONAJ ŚMIAŁĄ I NAMIĘTNĄ.

O STAŃ SIĘ DLA WYBRANYCH TĄ SIŁĄ FATALNĄ,
CO PCHA TAM, NA CO TŁUMY NIE ŚMIĄ SPOJRZEĆ ZBLIZKA.
LEĆ, LEĆ TAM! — I ZWYCIĘZKĄ RĘKĄ SZARP BRUTALNĄ
ZASŁONĘ, GDZIE JAK SŁOŃCE, WIELKA NAGOŚĆ BŁYSKA! —

Mińsk.

* Z poematu: »Tragedya krwi«.

(Tęsknica prowadzi Szopena przez śnieżne pola):

Pójdź za mną!

Cichą słodyczą polskiej nocy letniej,
Upojną wonią skoszonego siana,
Nutą wierzbowej, mazowieckiej fletni,
Co łka i kwili: »danada! hej dana«, —
Widmem, co z dymów pastuszych się przędzie
I tęczowymi przyodziewa błyski —
Stałam tajemna, cicha, bladolica
U Twej kołyski.
I odtąd z Tobą wciąż będę i wszędzie
Ja geniusz Twój, ja tęsknica.
Daremnie Tobie w dalekie biedz kraje,
Pierś wątłą krzepić pocałunkiem słońca.
Zapłaczesz, idąc przez laurowe gaje,
Że to nie brzoza skroń Twą liściem trąca,
Zapłaczesz gorzko, słoneczny podrzutku,
Że ci Południe szle jasne uśmiechy,
Gdy Ty na skrzydłach tęsknoty i smutku
Chciałbyś odlecieć gdzies pod kurne strzechy—
Kędyś daleko, gdzie na śniegów puchu
Ziemia Twa rodna śpi cicho w łańcuchu
I jedno Boża-męka pochylona
Litosne nad nią rozpina ramiona.

Ty dasz jej głos! Ty za nią
Łkać będziesz, ilekroć jej piersi rozranią.
Ty z ros jej, Ty z jej pól
W pierś swoją przejmiesz łzy i ból.
Ty wszystkie jej męki
Zaklniesz w czarowną melodyę piosenki
I w tryumf zmienisz każdy jej cios,
Bo dasz jej głos!

Ona Ci zato podrzutku słoneczny
Da wawrzyn wieczny —
I nieśmiertelny wrócisz do rodzica...
Ja Cię powiodę, Twój geniusz, tęsknica...
Pójdź za mną!

Maciej Szukiewicz.



SZOPEN

WOJCIECH WEISS

EDMUND BIEDER

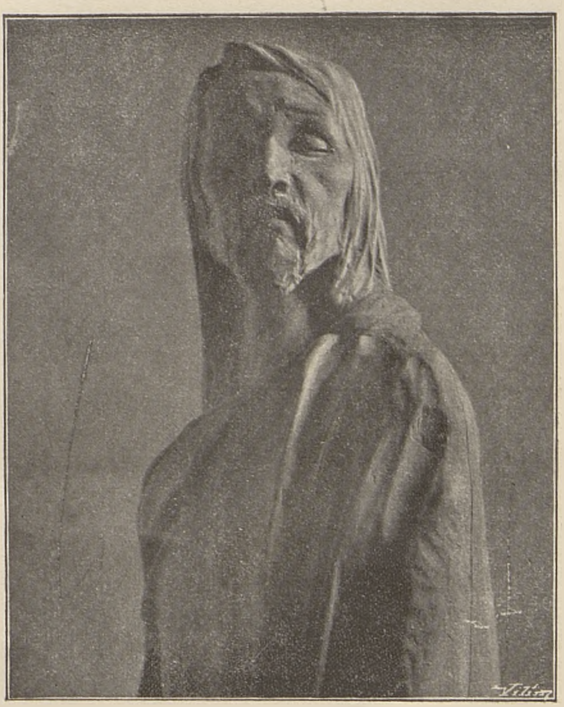
EX INFERNO.

Błogosławiona bądź mi i przeklęta
Za wszystkie męki i za wszystkie szały,
Które mi w strzępy serce rozrywały,
Żem jak niewolnik skuć się dał w Twe pęta
Błogosławiona bądź mi i przeklęta
Kobieto!

Przeklęta bądź mi i błogosławiona,
Żeś mnie w świat ekstaz wiodła tajemniczy
W świat najwyższego szczęścia i goryczy, —
Żeś mi się sama rzuciła w ramiona,
Przeklęta bądź mi i błogosławiona
Kobieto!

Błogosławiona bądź mi i przeklęta
Że we mnie płoną dziś jeszcze pożary,
Choć zatraciłem dawno szczątki wiary,
Żem przestał wierzyć w Ciebie, iżeś święta,
Błogosławiona bądź mi i przeklęta!
Bądź mi przeklęta, bądź błogosławiona
Za sny młodości i za orle wzloty!

Za przepłakane bóle i tęsknoty
Jedna do Ciebie płynie antyfona:
Przeklęta bądź mi i błogosławiona
Kobieto!



CHRYSTUS FRANCISZEK BILEK.

WŁ. ORKAN

»O GRAJ!«

O graj!
Wesołe pieśni graj!
Niech melodya mknie i goni,
O szczęściu ludziom głośno dzwoni —
I niesie raj
Uśmiechów jasnych, a szeleści
Jak ciche, słodkie sny i pieści
Muzyką fal...

I w dal
Niech płynie, w dal!
Na senne morza, na kraj świata,
Na skrzydłach wiatru, co przelata
Z uśpionych hal...
Wszędzie usłyszą radzi o niej,
Bo ani zgrzytem nie zadzwoni
Smutek, ni żal...

O graj,
Wesołe pieśni graj!
Niech melodya twa upaja,
Niech ziemię w kwiaty poustraja,
W przecudny maj...
Śpiewaj, o śpiewaj! pieść miłośnie,
Mów ludziom złote sny o wiośnie,
O szczęściu graj!

Patrz: świat
Od zbytku szczęścia zbladł!
Powiędły kwiaty od gorąca,
Ziemia spękała się od słońca —
I któżby zgadł,
Ile do raju przeszło bytów,
Gdy jeden promień tu z błękitów
Na ziemię padł?...

MŁODOŚĆ str. 158.

O graj!
Wesołe pieśni graj!...
Niech melodye cicho płyną...
I wierz, szczęśliwy, że gdy miną
Tysiące lat —
O życie twoje będą sprzeczki,
Jak o półboga, który świeczki
Z Olimpu skradł...

MARYAN TATARKIEWICZ
KRÓLEWNA MÓRZ

I.

Gdzie blaski zórz
Powstają z wód,
Na samem dnie
Spoczywa w śnie
Królewna mórz,
Królewna cud.

— Lecz cóż się stało jasnej pani?
Próżno ocean śpiewa dla niej
Pieśń najpiękniejszą, próżno wir
Uderza w struny skalnych lir,
Aż echa grają.
Napróżno ranek krzesze skry
I szczerem złotem dzierga mgły,
A perły muszle otwierają.

Nie słucha, nie.
Nie patrzy, nie
Królewna mórz
Królewna cud.
W głębinie wód
Na samem dnie
Spoczywa w śnie
Na łożu z róż.

MŁODOŚĆ str. 159.

— Czy nazbyt silne kwiatów wonie?
Czy może zwiędły nazbyt wcześnie?
Gdyż w białe ręce tuli skronie
I pierś jej biała łka boleśnie...

Nie, to nie róż
Zdradziecka woń.
Rumień się, płoń
Królewno mórz.
Nie, to nie róż
Zdradne wonności
To czar miłości
Trucizna dusz.

— Jej dziwny sen,
To rybak ten,
Ten rybak młody,
Który w zawody
Z falami — hen
W czasie wichury
Przez wód lazury
Śród raf i skał
Jak wicher gnał.

Ujrzała raz
W burzowy czas,
Jak łódź swą wiódł
I kocha już
Królewna mórz
Królewna cud.

— Kocha nad szumy morskich fal,
Co do snu ją kołyszą
I nad błękitną kocha dal,
Co przepojona ciszą,
Nad pereł blask — nad róży kwiat
Nad życie swe, nad cały świat.

— Czemże jest przy nim jasna zorza
Co się zapala nad przestworzem...
...Nie masz jej życia w głębi morza
Nie masz jej życia po za morzem!...

II.

— W słońcu się bawią roje fal,
Złote rzucając piany...
— Królewno mórz, o stłum swój żal:
Oto w błękitną płynie dal
Twój rybak — twój kochany.

— O patrz, — jak skrzydła śnieżnych mew,
Lśnią rozpostarte żagle.
Czy słyszysz! rybak nuci spiew
Czarowny śpiew
O najsławniejszej z róż...
O sercu, co jak lód...

— Królewno mórz
Czemuś pobladła nagle?
Królewno mórz!
Jak lilja blada twoja twarz
I dziwny smutek w oczach masz.

Królewno cud
Czemuś pobladła nagle?

— Nie mówi, nie,
Nie słucha nie
Królewna mórz
Królewna cud,
O, żegnaj już
Cudowny śnie
O, żegnaj już
Śnie pełen złud
O, żegnaj już!

— Nie do niej mknie rybak przez wodne głębiny,
Nie dla niej on śpiewa tak pięknie,
Nie dla niej — nie dla niej — dla innej dziewczyny,
Do innej tak śpieszy przez wodne głębiny
I... serce w niej niemal nie pęknie.

Do innej? i czemu?... — wszak fale, jej posły
Najsłodsze wyznania miłości mu niosły
Szeptały, śpiewały bez końca,
Że kocha, że kocha mórz pani królowa,
Kochanka księżyca i słońca.

Że kocha i wszystko uczynić gotowa,
Że sługą mu będzie... I stoi bez słowa,
Jak lilja tak biała i drżąca
I tylko szklanemi wpatruje się oczy
W łódź małą, co płynie po toni przeźroczej
I fale tęczowe roztrąca.

A echa wciąż słowa przynoszą jej pieśni
Słonecznej jak wiosny poranek
I coraz jej smutniej i coraz boleśniej
I coraz jej droższym kochanek.

I stoi bez słowa, mórz pani królowa
Wszechwładna, lecz w wodnej krainie,
A fala w dal płynie, jak bajka tęczowa
Prześniona w upojeń godzinie.

O zbudź się, zbudź
Królewno mórz!
O zbudź się, zbudź,
Królewno cud!

Już fali prąd
Już fali bieg
Daleko stąd
Na stromy brzeg
Z błękitnych wód
Unosi łódź.

O zbudź się, zbudź
Władczyni burz.
Królewno mórz
Królewno cud!...

III.

Po twarzy mórz pani, od smutków pobladłej
Złowieszcze przebiegły płomienie
I wichry jak psy się u nóg jej pokładły,
Czekając na rozkaz — skinienie.

Ocean błękitne w nią utkwił spojrzenie
I ucichł, jak gdyby z sił nagle opadły
I cisza i wielkie milczenie
Nad tonią przejrzystą zapadły.

I tylko z oddali
Płynęła po fali
Piosenka rybaka miłosna.

»...Przez głębie, przez sine
Wraz z tobą popłynę
Gdzie cisza i słońce i wiosna.

Gdzie nigdy wiatr chłodny
Twej twarzy pogodnej
Ostremi nie muśnie skrzydłami,

Gdzie z snów cię nie zbudzi
Głos burzy, złość ludzi
I oczy nie zalśnią ci łzami.

Przez głębię, przez siną
Popłyniem dziewczyno
Do źródła nieczystej radości

Przez głębię, przez siną
Popłyniem dziewczyno
Na święto, na święto — miłości!..«

...I stoi bez słowa mórz pani, królowa
W miłosną wsłuchana piosenkę,
Lecz lica jej płoną i mścić się gotowa
Za ból swój, za rozpacz, za mękę.

A echa wciąż słowa przynoszą jej pieśni
Słonecznej, jak wiosny poranek
I coraz jej smutniej i coraz boleśniej
I coraz jej droższym kochanek.

...Wtem gniew jej brwi ściągnął i w jasne źrenice
Blask rzucił, jak burza ponury —
Ocean zaszumiał, załkały wichury
Na słońce gromadą rzuciły się chmury
I cieniem się nocy powlokły lazury.
Jak gniewem królewny mórz lice.
Fal tłumy jak węże skłębiły się w pędzie
I lecą wichrami smagane
I fale i chmury gromami wezbrane
Pytają: — Królowo?! — Co będzie?!...

Nie rzekła ni słowa
Mórz pani królowa
Lecz ręka jej biała
Łódź małą wskazała... — —

IV.

— Czy słyszysz, jak zawodzi wiatr, jak płacze, jak się żali
Widzisz te białe mgły, co idą tu po fali?
O cudzoziemcze wiedz, że nigdy o tej porze
Żadna rybacza łódź nie puści się na morze...
Choćbyś miljony dał — bo tam śród raf i skał
Śmiałków tysiące ciał
Na ląd
Już wyniósł prąd.

To tam rok w rok — w pamiętny dzień
Po ciemnej tafli wód
Śmiały się sunie cień...
I wnet ci wzrok przesłoni kir
I łódź skierujesz na rafy i wir.
Bo tam rok w rok, w pamiętny dzień
Po ciemnej tafli wód
Aż do świtania zórz
Do pierwszych brzasków ranka
Chodzi i szuka kochanka
Królewna mórz
Królewna cud...

ANDRZEJ STOPKA

BAŚŃ KOŚCIELISKA.

Był roz taki planetnik, co hmurami gazdowoł i kie kcioł, to sicko zrobił, co mu sie ino rabazyło. Mioł se takom wielcaźnom książke, juści w niej se pozakładoł ferecinom,[1]) zajęcom kapustom, lebo seleniejakim zielem sićkie kartki, wtore na rózne cudowne rzeci wolor miały.

I co nie robi, kie se kcioł, to se zacon citać i citać, a tu wyłazom ze Zbojeckik okien zbojnikowie seleniejaci. To zaś prziwar książke znowa na doł kartkami, abo prasnon ś niom na ziem i stanon se niej, a tu abo wojsko wysło z jakiej jamy, abo co takiego przepieknego, jaze sicka gebę ozdziawić musieli. To znowa przełozi kartecke, a tu sie cudecki robiom w dolinie i po źlebak,[2]) bo on cito i cito, a ze źlebów wyhodzom seleniejakie, cudacne, a strasecne smoki i gady plugawe, a ludzie sie obyrtnąć musieli; na te plugoce patrzeć ni mogli, boby byli ze strachu poumierali.

Pote jak te howiedy[3]) nie zacnom sie gryść i bić, to sie tele casi biełу i gryzły, jaze sie sićkie pojadły ino dziwtóre na nosienie ostały.

To znowa otwar inksom kartke, a tu z dziur i usepisk wyłazom całe kyrdele boginek przepieknyk. Co wtoro wysła to jesce piekniejso była.

To zaś zacon ten planetnik wywijać tom księzkom i prać ś niom po ziemi; to w te nasły takie hmury gęste, co sie cisto pięknie do imentu zećmieło, a tak pierany biełу, co raty przeraty. A on sie nicego nie boł, bo mioł w tej książce rózności i tak ino se przecitoł, to mu sie sićko stało, co kcioł, a ni móg mu niwto nijakiej krziwdy zrobić — haj.

Jaze był hłop barz mądry a siodowoł se hań pod reglami, ka teraz Staniki siodujom. Juści prziseł roz ku niemu ten planetnik i pokozoł mu te cuda, a pote pado:

— Przenocujze mie.

— Jakoz wos mom nocować, kie takom brzićkom książke mocie — niescęście gotowe, haj.

— Niescęścia nijokiego nie bedzie, bo księzke bedem przy sobie trzimoł.

No i przijon go pote ten hłop na noc i kie juz było po północi, pośli spać, a mój planetnik pho sie ku hłopowej babie.

Jaze to hłop bez spanie pomiarkowoł i jak nie praśnie planetnika w zęby, co mu sie kcioł tak za nocowanie wywdzięcić. Ni mioł planetnik wielgiej siełу, a książke mioł w kiesonce i zacim jom wyjon, hłop go zatela zeproł straśnie — haj. I wyruciel go pote na obore. Ten planetnik ze był cłek mściwy, juści poseł do hłopowego młyna, co go za Palenicom mioł i wyruciel mu młyński kamień na kalenicę[4]) i kozoł, coby sie tam zwyrtoł. Obraco sie ten kamień, obraco a mąka nijako nie leci.

Jaze hłop przihodzi i pado. — E, cozeć mi zrobieł? To ta twoja książka ino telo umie? To patrzojze, jeze go jo bez twojej książki sejmiem i połozem na pójdzie tam, ka był przódziej. Toz to pote wyruciel ten planetnik ten kamień na wierk Bystrej i kozoł mu coby sie tam na wiersićku obyrtoł. I obyrtoł sie tam ten kamień moc roków, ale chłop sie o to nie złościeł, hocioj go śjońć ni mógł, bo byfo za wysoko — haj.

Jaze sie Poniezus dowiedzioł, jeze się planetnik tak hłopi[5]) i kozoł janiołowi, coby wzion

---

[1]) rodzaj paproci. [2]) dolina [3]) potwór. [4]) górna część dachu. [5]) tęży.

sable i poseł ś niom odebrać te ksiązke temu planetnikowi, boby wereda jedna dalej ś niom štuki pokazowoł.

Jaze dowiedzioł sie o tem hłop, jeze janioł planetnikowi ksiązke odebroł i poseł doń i pado tak:

— Moj kochany planetniku, mnie sie tak widzi, jeze ten kamień sie juz tam na Bystrej dość nazwyrtoł. Trza go sjońć.

— To go sejmijcie — pado mu planetnik.

— Jo nie bedem go znosieł, bok go ta nie zaniόz. Niek go ten zniesie, co go wyruciel.

— Jo go nie bedem znosieł — pado planetnik.

— Nie bedzies?

— Nie bedem!

A hłop prasks planetnika w zęby i pado:

Hyboj duhem, bier kamień i znieś.

Planetnik biere kamień na grzibiet i niesie, niesie; grzibiecisko go boli, bo gniecie.

Jaze kie tu przisel na to miejsce, ka ta wanta pŕzed nami, juści sie utknon i przewyrtnon sie, a kamień go przisiod. Ci moi piekni, jego ciało tu jest pod tom wantom,[6]) ci go tez planetnici do hmur wzieni, nie wiedzieć, ale kamień tu ostoł, a potem do jego dziury do środka wstawieli ten krziz i napisali na nim: »I nic nad Boga«.

---

[6]) kamień.

BOGUSŁAW BUTRYMOWICZ

HARMONIE.

Bo nad polany i rozłogi
Wypełznął księżyc złotorogi.

Na pola, które śpią i marzą
Rzuca się wązką, bladą twarzą.

Po polach biało, cicho, sennie
Noc przytłumiła zgiełk i ruch.
Miesiąca złoty róg promiennie
Zawisł nad ziemią i bezdennie
Spogląda w świat melodyi duch.

Wszystko rozświetla się w harmonię,
Czego przejrzystem skrzydłem tknie —
Po ziemi i po nieboskłonie
Rozkłada miękie, cudne dłonie,
Niby przedźwięczne harfy dwie.

Z dłońmi na piersiach złamanemi
Wita go ciemne widmo ziemi,

Wita go żałość i tęsknota
I bezimienny ból-sierota...

Ogromny kościół Wszechnatury
Obchodzi wielkie święto świąt — —
Rzędem filarów sterczą góry...
Chorągwie — ciemne drzew kontury
Rozchwiewa modlitw — dźwięków prąd.

Przestrzenie mgławo ozłocone
Drgają napięte masą strun...
Przez koronkową krzów obsłonę
Mienią się światła rozstrzelone,
Na kształt niezmiernie drobnych łun.

»O święty, mocny, wieczny Boże!«
Olbrzymi kościół wokół łka —
A Bogiem całe jest przestworze:
Melodyi, tonów, pieśni morze,
Które się wzdyma, ciska, drga...

...Popłynął księżyc złotorogi
Czerwonym szlakiem ludzkiej drogi.

Płynie i smutki mięko trąca,
Niby melodya srebrniejąca.

W smętnicę brzozy siwowłosej
Strąca błękitne perły rosy

I wplata w czarne dębu sploty
Swych smug świetlistych akord złoty.

Jasno zielone stawów oczy,
Oprawne w granit niby w stal,
Mrużą się pod mgłą, co w przeźroczej
Ciszy się po nich w kłębach toczy,
Jak biały z puchów tkany szal.

— I Cicho, sennie... cicho, biało,
Tylko harmonii złoty róg
Strząsa na ziemi czarne ciało
W wizyach ekstazy pieśń omdlałą:
Tęcz niby siedmiobarwnych smug.

Pieśń, która wszystko chłonie w siebie,
By je w przeczysty przelśnić płód:
Czy słońcem jest na jasnem niebie,
Czy kroplą krwi na czarnej glebie,
Czy żądłem męki, śmiercią złud...

...Popłynął księżyc złotorogi
Szlakiem posępnej, błędnej trwogi.

Kładzie dłoń chłodno, obojętnie
Na każdej duszy, każdem tętnie

I dalej w rozmgleń aureoli
Pełza milcząco i powoli...

I sennie, cicho — cicho, biało,
Tylko ten wieczny dzwoni rytm:
Bóg-Duch co tonów przyjął ciało,
Słowo, które się dźwiękiem stało,
Król w duszy się łoniących widm —

— Na szczęścia kładzie smętku dłonie
I w blade perły zmienia ból — —
Po ziemi i po nieboskłonie
Płynie w skrzydlatych snów koronie
Świętych, obłędnych wizyi król...



ADAM SIEDLECKI

Z »NIEWOLNIKÓW KRWI«

Scena Kolbera z Marynią.

Marynia (do Kolbera). Czy mogę cię prosić o kilka słów rozmowy?

Kolber (nie kryjąc wybuchu zadowolenia i nasyconej ambicyi — zawsze z arogancką galanteryą). Służę, służę... z przyjemnością. (Do Rozlenieckiego:) Przepraszam cię mój drogi...

(Rozleniecki oddala się.)

Marynia (nieumiejętnie hamuje oburzenie w głosie). Czy to jest prawda, co mówiła Marta?

Kolber (z tendencyjnym spokojem, flegmą). Nie wiem, co mówiła Marta.

Marynia (z coraz większą nienawiścią — ale ciągle szeptem). Mówiła mi, żeś sprowadził jakiegoś jegomościa z Antypodów i chcesz, aby się starał o mnie!

Kolber. A, jeżeli to mówiła, to zupełna prawda. Zupełna prawda. Z wyjątkiem małego sprostowania: nie jest to jegomość z Antypodów, a bardzo miły młody człowiek. (nieznacznie wskazuje na obróconego tyłem Rozlenieckiego).

Marynia (traci panowanie nad nerwami — podnosi głos). Czy ja cię o to prosiłam?

Kolber. Cćć! Spokoju! — — Nie prosiłaś...

(Rozleniecki wychodzi za kotarę.)

Marynia. Więc dlaczegoś to zrobił?

Kolber. Dla kilku względów, z których niektóre mogę wyliczyć: Primo. myślałem, że ci zrobię przyjemność.

Marynia. I zawiodłeś się.

Kolber (drwiąco). Właśnie chciałem cię zapewnić, że otrzymałem teraz tę świadomość po tem, com usłyszał od ciebie — no... ale... W każdym razie żałuję — i choć się nie cofnę, bo nie mogę się cofnąć, zrobię, co jestem w stanie zrobić: będę żałował swego kroku. Tak, to primo. Secundo: uległem systematycznemu naporowi życzeń waszej mateczki. Tak. Tertio: sam chcę, abyś wyszła zamąż... bo... (na pół teatralnie, na pół drwiąco) bo wiesz przecie, jak cię kocham, jak szaleję...

Marynia (dumnie). Nie wiem — — A przytem nie rozumiem konsekwencyi.

Kolber (podchodzi do niej, sztucznie uśmiecha się, patrzy na nią wyzywająco). Wyjdź za Rozlenieckiego, wyjdź dziecko, a... Wyjdź za Rozlenieckiego! Miłość, moja droga, to pajęcza wiązanka najmisterniejszych powikłań psychicznych...

Marynia. Cofnijmy ten temat! Dość blagi! — — — Czy nie masz zamiaru zaniechać akcyi?

Kolber. Ani na chwilę.

Marynia. Ależ ja nie chcę iść za mąż!

Kolber. Nawet gdyby się pan Skierski oświadczył?

Marynia (drze ze złości rolę, którą trzyma w ręku — po krótkiej pauzie). Co najmniej nie powinno cię to obchodzić.

Kolber. Owszem powinno, bo mnie przepala krew rywala.

Marynia. Dlaczegoż nie przepala cię krew rywala względem Rozlenieckiego?

Kolber (z pewnego rodzaju prośbą). Moja droga, wyjdź za niego. — — Miłość...

Marynia (stanowczo i wyniośle). Prosiłam...

Kolber (nieco zbity z tonu, ale zawsze ironicznie). Nie rozumiesz pragnień serca, co chce śpiewać miłość swoją.

Marynia (pogardliwie). O ile... nikt nie słyszy.

Kolber. Naturalnie.

Marynia (patrzy mu w oczy ze wstrętem). Jak twoja godność męska zgadza się zależeć całkowicie od mojej dyskrecyi?

Kolber. Dziecko! Męska dyskrecya, to ab-

strakt, jak wiele innych, ...abstrakt. A co do polegania na twojej dyskrecyi... to... No cóż w tem dziwnego? Człowiek, przystosowany odpowiednio do życia, eksploatuje bliźnich, na co każdego z nich pojedynczo stać: tego na zarozumiałość, tamtego na serce, innego na dyskrecyę... To zależy od jakości złudzenia tego nieboraka bliźniego.

Marynia. Za mądre to dla mnie. — — A jeżeli by to doszło do Marty inną drogą.

Kolber (znudzonym głosem). Ach Marta... Marta... — — Marta pociesza się stale przy Nitowiczu i tem samem traci prawo pretensyi do mnie. — — Cóż tak patrzysz na mnie? Ależ to cały świat wie o tem!

Marynia (boleśnie). Jakiś ty wstrętny!

Kolber (uprzejmie). Niema ludzi wstrętnych, są tylko... stylowi.

Marynia. Tak, ale ty jesteś podły!

Kolber (poruszony do żywa — szorstko, ucinkowo). Nie ma ludzi ani podłych, ani szlachetnych — są tylko... rozmaici!

(Rozmowa się urywa — pauza).

Marynia. Wracam ostatni raz... (ze sceny wchodzi Adaś — przerywa wątek, oboje z Kolberem odruchowo spoglądają na niego — Adaś zaczyna wałęsać się po scenie). Wracam ostatni raz do rzeczy: zaniechasz sprawy z tym Rozlenieckim?

Kolber. Nie, królowo.

Marynia. A więc bądziemy walczyć.

Kolber. Proszę.

Marynia. Zobaczymy, czy Rozleniecki nie wróci do swoich lasów zaraz po pierwszej wizycie.

Kolber (podchodzi do niej -- cedząc słowo za słowem): A co powie mateczka na to?

Marynia (uprzytamnia sobie rosnące trudności, krótka pauza, przez którą patrzy na niego z bolesnym wyrzutem; zaczyna cicho) — — Czy ty nie masz w sobie najmniejszego rysu miękkości, względności uczucia, tego, co mamy w sobie dla innych, nie dla siebie?

Kolber (zadziwiony, zupełnie szczerze). Po co?

Marynia (prawie życzliwie). To źle, bo to rodzi w bliźnich nienawiść, tak, jak we mnie wyrodziło.

Kolber. Nienawiść, to droga najsłabszego oporu, tem lepiej dla mnie.

Marynia. W rezultacie zamiast wdzięczności doczekałeś się tego, że będę błogosławiła chwilę, w której opuszczę twój dom po dwuletnim pobycie.

Kolber. Nastręcza ci się doskonała deska ratunku: wyjdź za Rozlenieckiego.

Marynia. A wiesz, że w końcu z rozpaczy gotowam nawet wyjść za mąż.

Kolber. O! to, to, to! O to idzie.

Marynia. Byle precz od ciebie.

Kolber. Będziemy wytrwali.

Marynia (więcej do siebie, niż do Kolbera). Aż do śmierci...

Kolber. A qui vivra, verra!

Adaś (który od kilku chwil patrzył w kulisy). Maryniu, za chwilę idziesz na scenę.

Marynia (po wysłuchaniu, co do niej mówi Adaś). Jeżeli kiedykolwiek wyjdę za mąż... (nie może dalej mówić — głos jej zamiera z oburzenia).

Kolber (ze specyalnym spokojem, a jak zawsze z uprzejmym uśmiechem). Jeżeli kiedykolwiek wyjdziesz za mąż... (dopowiada znaczącem milczeniem — wyzywająco wpatruje się w nią, syci się jej wzrokiem).

Marynia. Ostrzegam cię, że możesz się znaleźć za drzwiami!

Kolber (z teatralną wytwornością). Ale zawsze w barwach twego barda!

Adaś (patrzy ciągle w scenę — daje naglący znak ręką Maryni). Maryniu!

Marynia (zdąża ku wyjściu). Adieu — nieboraku.

Kolber (dotknięty »nieborakiem« — nie umie powstrzymać namiętności w głosie — gorąco). Ty będziesz moją!

Marynia (wybucha szczerym śmiechem). Ha, ha, ha! ha, ha! Jakiś ty wspaniały... Ha, ha, ha! (ze śmiechem biegnie ku scenie, gdzie we drzwiach ukazuje się Kostecki — Kolber patrzy za nią brutalnie — nie rusza się z miejsca).

Adaś (alarmująco). Maryniu.

(Marynia czemprędzej wpada w drzwi.)

Kostecki (deklamuje w tonie oburzenia). »Spiesz się, a raźno, cześnik czeka na cię!« (schodzi ze schodków — zbliża się do Adasia). I tam dalej i tam dalej.

Kolber (ciągle stoi nieruchomy na miejscu — zapatrzony w scenę, jakby widział Marynię przez ściany — usta napół rozwarte żądzą — szczęki zaciśnięte — oczy mu się iskrzą — prostuje się; przez oczy przelatuje błysk ambitnego zadowolenia) (do siebie). A jednak ty będziesz moją!! — — Bezczelności tylko, bezczelności! (nerwowo przechodzi scenę; do stojącego Adasia i Kosteckiego) Królestwo całe za źdźbło bezczelności — prawda Adasiu?

Kostecki. I za grudkę złota.

Kolber (macha ręką). E! złotem życia nie przekupi! (odchodzi od nich).

Adaś (do Kosteckiego). Marynka dobrze gra?

Kostecki. Dotąd nie miała co grać: dyalog. Scena z cześnikiem — grunt. Czy to teraz?

Adaś. Nie, teraz szósta scena.

Kostecki. A! ta krótka z pokojową... Aby jej z cześnikiem poszło.

Jerzy (uchyla kotarę, zagląda; — do Władki, idącej za nim). Już można... (do Kosteckiego) Kto na scenie?

Kostecki. Starościna, pokojowa.

Jerzy (wypuszcza Władkę). Można... (do Kosteckiego) Jakże?

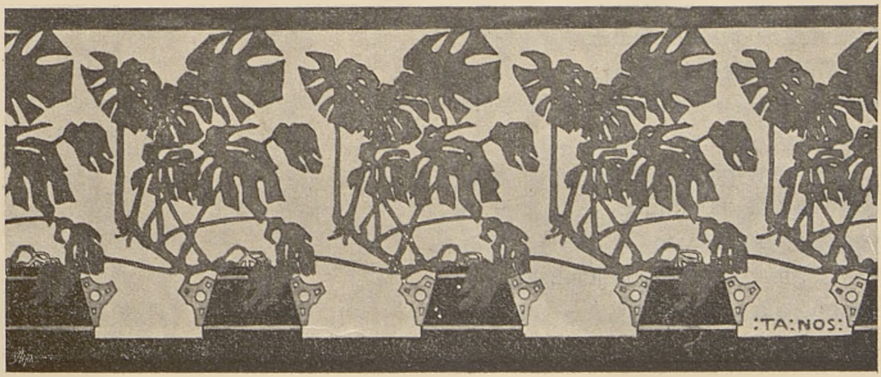
(Władka ubrana w zwykły kostyum domowy — przypina kapelusz do włosów).

Kostecki (odpowiadając Jerzemu). Oby tylko z cześnikiem — to sobaczenie oktawą...

Jerzy. Nie widzieliście mojej czapki?

Kostecki. Na co ci czapki?

Jerzy (szeptem do Kosteckiego). Idę do domu. Nie mów nikomu, proszę cię! (Wychodzi z powrotem za kotarę szukać czapki).





EDWARD LESZCZYŃSKI

ANIELE PIEŚNI!

Precz odemnie!
Sam chcę zostać!
— Sam z bezbrzeżną mą tęsknotą,
— Sam z mym bólem zaświatowym,
— Sam z mych wizyi marą złotą,
— Sam z mych złudzeń snem tęczowym.
Z własnym bólem i rozpaczą
Na kurhanach pójdę siadać,
Gdzie Anioły ciche płaczą;
I mogiły chcę spowiadać
I podsłuchać o czem marzą
Pod anielskich pieśni strażą.
Grobom wydrę tajemnicę
I wyczuję i pochwycę
Brzóz mogilnych płacz najcichszy —
I tęsknota ma przywoła
Dumnej pieśni archanioła.

MŁODOŚĆ str. 172.

Wstań aniele! Wstań z całunów!
Zadziwionym ludom powiedz,
Że Ci zimny zbrzydł grobowiec,
Że pieśń wielka, pieśń z piorunów
Nad narodem się rozwichrzy,
Że go weźmiesz w swoje skrzydła
I uniesiesz w blask bez końca;
Że rozpalisz mu nad głową
Purpurową
Jasność słońca;
Że Twej pieśni dziwną mocą
Takie gwiazdy się rozzłocą,
Że porzuci czcze mamidła,
I po długich walk rozterce
Szałem życia drgnie w nim serce!

Aniele pieśni!
Ty harfę strój
Na wielki dzień
Na duchów bój!

Aniele pieśni!
Gdy sen się prześni,
Wichrowym szlakiem
Pod komet znakiem
Pójdziemy z Tobą ludów wybrańce
Przez moc miłości zdobywać szańce
Królestwa ducha.

I nie zlękniem się ucisku,
Ni płomiennych łun pożogi,
Boś nam wskazał w pieśni błysku
Odrodzenia jasne drogi,
Boś nam odkrył Królu-Duchu,
Że w dziejowych prób łańcuchu

MŁODOŚĆ str. 173.

Duch tworzący ma swe prawo,
A czasami błyska krwawo;
Czasem w gromach, w krwi powodzi
Odrodzenia gwiazda wschodzi!

Cisza... cisza... dymią zgliszcza.
Na dziejowych dróg przełęczy
W cudnych blaskach się rozwiesza
Jasnowidna obręcz tęczy.
Na zwalone w proch bożyszcza
Bojowników wielka rzesza
Leci, rwie się... świat zaludni,
Rozpalona ziemia dudni,
Zda się z kopyt rwą centaury.
Trąby grają,
Wizye wstają,
W blask się stroją zwiędłe laury.
Przebudzeni już nie zasną,
Bo już widno, bo już jasno,
Bo już sercem, duszą w niebie
Wniebowzięci my przez Ciebie.



MŁODOŚĆ str. 174.

Od komitetu sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju, odbieramy następujące zawiadomienie:

Zorganizowany z końcem roku zeszłego »komitet, mający na celu sprowadzenie zwłok Juliusza Słowackiego do kraju« jest w dalszym ciągu wyrazem tej myśli, którą zainicyował w Zurichu zjazd zjednoczonych towarzystw kształcącej się młodzieży polskiej za granicą.

Obecny komitet rozpoczął swoją pracę wyborem zarządu, złożonego z 12 osób, ukompletowanego w sposób następujący: Prof. Adam Bełcikowski, przewodniczący; Kazimierz Bartoszewicz, zastępca przewodniczącego; Seweryn Krzemieniewski, sekretarz; Adam Siedlecki, zastępca sekretarza; prof. Odo Bujwid, skarbnik; dr. Ryszard Kunicki, zastępca skarbnika, oraz członkowie wydziału: dr. Zofia Daszyńska-Golińska; dr. Jerzy Żuławski; prof. Jan Stanisławski, Włodzimierz Tetmajer, Józef Kotarbiński, Zdzisław Czaplicki.

W początkach maja r. b. komitet otrzymał od Namiestnictwa zezwolenie na publiczne zbieranie składek i od tej chwili może występować jako prawie usankcyonowana instytucya, czyli może przystąpić do rozwinięcia celowej akcyi, wytkniętej w idei sprowadzenia prochów poety do kraju.

Dotychczasowa działalność komitetu ograniczyć się musiała na czynnościach wstępnych, przygotowawczych: przeprowadzenia korespondencyj, co do prawnych przepisów francuskich przy wyjmowaniu i przewożeniu zwłok, ściągnięciu istniejących już składek, wydrukowaniu list i czeków składkowych, ulokalizowaniu sumy już istniejącej na książeczki Kasy oszczędności etc. etc.

Za inicyatywą komitetu dla sprowadzenia zwłok Chopina — zarząd wszedł w porozumienie co do zespolenia akcyj obu komitetów, celem większego uświetnienia tej znamiennej chwili złożenia zwłok Mistrzów na ziemi ojczystej. Bliższych szczegółów tej sprawy nie zdołano jeszcze przeprowadzić.

Dyrekcya teatru miejskiego na prośbę komitetu przyrzekła jeszcze w obecnym sezonie przeznaczyć jedno widowisko pamięci Słowackiego z *ad hoc* ułożonym programem.

W najbliższej przyszłości komitet przygotowuje odezwę do wszystkich warstw społeczeństwa, wzywającą doześrodkowania energii celem jak najskuteczniejszego urzeczywistnienia tej myśli, co ma być spłaceniem długu, jaki naród winien jednemu z największych swoich Królów-Duchów.

Podobne zawiadomienie przysyła nam również komitet sprowadzenia zwłok Szopena do kraju.

W lutym br. zawiązał się we Lwowie za inicyatywą Kaz. Szczepańskiego komitet młodzieży technickiej, w celu sprowadzenia do kraju (Krakowa) zwłok Fryderyka Chopina. Sekretarzem obrano Stanisława Tilla, słuch. IV. roku inżynieryi. Celem tegoż komitetu jest zwołanie publicznego zebrania we Lwowie, na którym nastąpi wybór zarządu. Zarząd ten ma się składać z osób, stanowiskiem i wpływem wybitnych, mogących w dostatecznej mierze zająć się dalszą akcyą i urzeczywistnić zasadniczą myśl komitetu: sprowadzenie zwłok Chopina.

Komitet postanowił uprosić do wzięcia udziału w pracach wszystkie lwowskie wybitniejsze Towarzystwa, wydrukować listy zapraszające na publiczne zebranie i rozesłać je

do osób należących do sfer muzycznych i literackich.

Celem rozbudzenia zainteresowania się sprawą sprowadzenia zwłok Chopina do kraju, udano się do różnych osób wpływowych, aby ze swej strony cele komitetu poparły, jako to: J. Ex. p. prezydenta Sądu krajowego Tchórznickiego, J. Mg. p. rektora Kadyi'ego, X. Prałata Jana Gnatowskiego, prof. uniw. Drów: Tilla, Balasits'a, Twardowskiego; prof. politechniki Maxymiliana Thulliego, dyrektora Towarzystwa muzycznego p. Schwarca, prof. Niewiadomskiego Sołtysa, Kurza i w. i

Przez zamieszczone kilkakrotnie sprawozdania z działalności komitetu w łamach dzienników lwowskich, rozbudził komitet we Lwowie żywe zainteresowanie się tą sprawą. Czytelnia akademicka urządziła wieczór muzykalny Chopinowski w sali »Domu Narodnego«, przy bardzo licznym udziale publiczności, z doborowym programem utworów wyłącznie Chopina, przeznaczając czysty dochód na sprowadzenie zwłok.

Dyrektor Tow. muzycznego p. Schwarz nosi się z zamiarem urządzenia wieczoru Chopinowskiego w jesieni.

Komitet udał się do pp. Władysława Mickiewicza i Konstantego Górskiego w Paryżu z prośbą o zasięgnięcie informacyi, czy rząd francuski nie będzie czynił trudności w wydaniu zwłok, na co otrzymał odpowiedź, że »rząd francuski nie wdaje się nigdy w sprawy przenoszenia zwłok, że potrzeba jedynie zezwolenia rodziny«. W tej więc kwestyi odniesie się komitet do siostrzeńca Chopina p. Antoniego Jędrzejewicza.

Ze względów formalnościowych i ekonomicznych, postanowił komitet przyjść na publiczne zebranie, z wnioskiem, polecającym przyszłemu zarządowi wejście w porozumienie z »komitetem istniejącym w Krakowie w celu sprowadzenia zwłok Słowackiego«, celem podjęcia wspólnej akcyi za granicą i ew. połączenia uroczystości w kraju.

Na tem stadyum rozwoju stoi obecna przygotowawcza akcya komitetu sprowadzenia zwłok Chopina do kraju.

OD REDAKCYI.

Zeszyt dzisiejszy »Młodość« poświęca całkowicie pamięci dwóch największych artystów polskich: Słowackiego i Szopena, z przeznaczeniem połowy dochodu na rzecz sprowadzenia zwłok obu Mistrzów do Krakowa.

Reprodukcyę znakomitej pracy Bilek'a »Chrystus« dajemy poznać czytelnikom dzięki uprzejmości Redakcyi, »Życia«, która nam użyczyła swojej kliszy.

Od następnego numeru przechodzimy do seryi prac, które będą miały na celu zasadnicze wykazanie społecznego stanowiska i zadań dzisiejszej młodzieży polskiej.

ODPOWIEDZI.

A. S. Nie skorzystamy z pańskiego artykułu o sztuce.

Janka P., Zurych. Zamieścimy w czerwcowym numerze. Dziękujemy.

Słuch. polit. lwowskiej. W tym numerze nie sposób zamieścić. Pozwolicie wstrzymać się do czerwca?

Sarmatia we Freibergu. Dziękujemy za informacye. Zamieścimy w czerwcowym numerze. Zeszyty: III. IV. V. wysłaliśmy.

Sawa. Talent niezaprzeczony. »Młodość« zapewne skorzysta z jednego utworu.

Redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Meus.** — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

„Młodość“



jako jedyne pismo młodzieży polskiej, ma obowiązek odzwierciadlać w sobie ruch młodzieży z pod zaborów i łączyć z krajem ojczystym ogniska młodzieży, studyującej za granicą.

Na wewnątrz zaś, przez bezstronne krytyczno-naukowe rozbieranie kwestyj młodzież zajmujących i przez umieszczanie głosów wszystkich partyj, starać się będzie łagodzić rozdział wśród niej istniejący. Redakcya zaś stojąc na stanowisku zupełnie bezstronnem, powstrzyma się od zaznaczania przy każdym artykule, umieszczonym w „Młodości“, czy zgadza się z nim rzeczowo, czy nie.

Główne te nasze zadania wypełnić możemy tylko przy gorącem i stałem poparciu wszystkich akademików. Do kolegów z prowincyi i zagranicy udajemy się z prośbą o przysyłanie korespondencyi z życia młodzieży polskiej. Przez utworzenie filii redakcyjnej we Lwowie położyliśmy silniejszy fundament pod pismo nasze i prosimy kolegów ze wschodniej Galicyi, aby z wszelkiemi pytaniami i artykułami do niej się zwracali.

Każdy akademik uważać się powinien za współpracownika naszego pisma, a słuszne rady i wskazówki uwzględniać będziemy z wdzięcznością.

Prenumeratorów, których abonament z tym numerem się zakończył, prosimy o szybkie odnowienie przedpłaty w celu uregulowania nakładu.

I ROK ZESZYT VI

Cena zeszytu 40

50 procent dochodu netto redakcya przeznacza
sprowadzenia zwłok Słowackiego i Szopena do K

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.